NA NIEDZIELĘ

Dodatek bezpłatny do „Dziennika Bydgoskiego." Wychodzi co tydzień.

Nr. 31. | Bydgoszcz, niedziela 8 sierpnia 1909. | Rok II.

Na niedzielę dziesiątą po Świątkach.

Lekcya.

1 Kor. XII. 2—11.

Bracia! wiecie iż gdyście pogany byli, do niemych bałwanów jako was prowadzono szliście. Przetoż oznajmuję wam, iż żaden w Duchu Bożym mówiąc, nie mówi przeklęctwa Jezusowi; a żaden nie może rzec Pan Jezus, tylko w Duchu świętym. Różności darów są, lecz tenże Duch. I są różności posług, ale tenże Bóg, który sprawuje wszystko we wszystkich. A każdemu bywa dane okazanie ducha ku pożytkowi. Jednemu przez Ducha bywa dana mowa mądrości, a drugiemu mowa umiejętności według tegoż Ducha; inszemu wiara w tymże Duchu, drugiemu łaska uzdrawiania w tymże Duchu. Drugiemu czynienie cudów, drugiemu proroctwo; drugiemu rozeznanie duchów, inszemu rozmaitość języków, a drugiemu tłomaczenie mów. A to wszystko sprawuje jeden a tenże Duch, udzielając z osobna każdemu jako chce.

Ewangelia.

Łuk. XVIII. 9—14.

Onego czasu mówił Jezus do niektórych, którzy ufali sami w sobie, jakoby sprawiedliwi, a inszymi gardzili, to podobieństwo: Dwoje ludzi wstąpiło do Kościoła, aby się modlili; jeden Faryzeusz, a drugi Celnik. Faryzeusz stojąc, tak się sam u siebie modlił: Boże, dziękuję tobie, żem nie jest jak inni ludzie, drapieżni, niesprawiedliwi, cudzołożnicy, jako i ten Celnik. Poszczę dwakroć w tydzień, dawam dziesięciny ze wszystkiego co mam. A Celnik stojąc z daleka, nie chciał ani oczu podnieść w niebo; ale bił piersi swoje mówiąc: ¡Boże bądź miłościw mnie grzesznemu! Powiadam wam, zstąpił ten usprawiedliwionym do domu swego od niego. Albowiem ktokolwiek się podwyższa, będzie uniżon; a kto się uniża, będzie podwyższon.

Nauka.

Po miejscach odpustowych, mianowicie też na Jasnej Górze Częstochowskiej, powiadają że bywają żebracy, co chwalą się tem, że są dziadami z dziadów, a zatem mają swoje dziedziczne miejsca przed kościołem, a chcą uchodzić jakby za panów pomiędzy dziadami. Wierutna to zarozumiałość, z której niejeden słusznie się naśmiewa. Ale czyż lepsza jest zarozumiałość onego gospodarza, co po ojcach odziedziczył, albo jakimkolwiek innym sposobem nabył kilkadziesiąt morgów pola, i dlatego uważa się za pierwszego w całej wsi, i z prostym zagrodnikiem prawie i mówić już nie chce. I nie lepszy od onego dziada z dziadów ów, co wynosi się z tego i myśli że mu wszystko już wolno, iż jest panem z panów. Zarozumiałości wszędzie pełno między ludźmi. Nieraz dzieciak poduczył się trochę w szkole, i myśli że już niewiedzieć jak jest mądrym, i ojcu w oczy wymawia jego nieuctwo, — i student co w mieście uczy się na urzędnika albo księdza, a wstydzi się ojca w siermięgę ubranego pocałować w rękę bo zdaje mu się, że on czemś lepszem od ojca, — i ta dziewczyna co poszła do miasta i z miejska się przebrała a myśli, że ona już panną, a inne dziewczęta w chusteczkach na głowie to hołota, — i ów co gdzieś kiedyś przemówił na wiecu, albo wydrukowano go w gazetce a już ma się za wielkiego i bardzo mądrego człowieka: u nich wszystkich i u wielu innych pokutuje w głowie i w sercu zarozumiałość.

Chełpi się faryzeusz: poszczę dwakroć w tydzień, dawam dziesięciny ze wszystkiego co mam. Dobrzeć robił, że to czynił, ale źle, że się tem chwalił; podobny on w tem do tej kury, co skoro jajko zniosła gdaka, żeby wszyscy wiedzieli, jak wielkiej ona dokazała rzeczy. Czyń dobrze, ale nie chwal się tem, ani przed samym sobą we własnem sercu, bo tem psujesz by też najlepszą sprawę. Dobra jest pobożność i jak mówi Pismo św. do wszystkiego pożyteczna; ale niech się do niej przyczepi zarozumiałość, a tem samem od razu przemienia się w złe dewociarstwo. Chodzi kto często do kościoła, przystępuje co tydzień, albo i częściej do św. Sakramentów, lubi czytywać książki pobożne i rozmawiać o Panu Bogu i Swiętych Pańskich, rzecz to doskonała; ale niech tylko przymiesza się do tego zarozumiałość, że taki albo taka pocznie się uważać za coś lepszego od innych, myśleć o tem, jak inni powinni się budować z tak świętego przykładu i naśladować go, o lada żartobliwe słowo gniewa się i dąsa, a na domiar złego krytykuje i sądzi wszystkich, że ten i ta nie są bez

ale, że ci i owe straszne dają zgorszenie, że pożal się Boże nasz Ojciec duchowny niema dosyć ducha Bożego, — każdemu łatkę przypnie, a ona jedna jest bez skazy, i tylko za ramki ją wystawić a będzie świętą: oto już pobożna osoba przedzierzgnęła się w dewotkę. Podobnież mądrość i roztropność wielka to cnota i wielki dar Boży; ale niech do niej przyłączy się zarozumiałość, i niech stanie się, że ten mądry sądzi być mędrszym nad wszystkich, że kto nie podziela jego zdania, ten jest albo głupi albo zły, a już z mądrego stał się przemądrzałym. I tak każdą cnotę psuje i wywraca ta nieszczęśliwa zarozumiałość, a nawet z panien zachowujących nieskalane dziewictwo czyni, jak mówi Boski nasz Zbawiciel, głupie panny.

Może choć trochę rozumiesz z tego co się powiedziało jak głupią i przewrotną jest zarozumiałość; jak zaś jest szkodliwą w skutkach swoich, o tem dalej przekonujemy się z dzisiejszej Ewangelii. Najprzód nie przyczynia ona nam w oczach Bożych sprawiedliwości, bo dobrze mówi św. Paweł: Ale u mnie to jest najmniejsza, żebym był od was sądzony... lecz ani sam siebie sądzę; albowiem się w niczem nie czuję; a który mię sądzi Pan jest. Nie jesteśmy takimi za jakich nas ludzie mają, — nie jesteśmy też tyle warci co nam się zdaje; ale o rzeczywistej wartości, naszej jedynie sąd wydaje Pan Bóg, i według tego sądu też weźmiemy nagrodę lub karę. Daremny tedy trud, sądzić się na to, by uchodzić za coś wielkiego w oczach ludzkich, daremniejsza jeszcze wysoko rozumieć o sobie, a jedyny prawdziwy rozum starać się o to, żeby podobać się Bogu i Panu naszemu. Amen.

Legenda o promyku sobotnim.

Stary Maciek Grzęda opowiada:

— Jednego razu, a to było w sobotę, okrutne chmury na niebo naszły i całkiem słońca nie było widać. Aż ludzie z chałup wychodzili, patrzali na niebo a dziwowali się, co to będzie? Burza, nie burza, deszcz, albo co?

Wyszła se z izby i Matka Boska z Panem Jezusem na ręku i także patrzy, co to będzie? Ni słońca, ni nieba, ni jakiego promyczka, tylko chmury i chmury, a deszcz tyle tylko co nie kapie. Westchnęła kilka razy Matka Boska i mało nie płacze, taka nieszczęśliwa.

— O mój Jezusieczku, powiada, jakże mnie tu Twoje koszulki wieszać, kiedy zaraz będzie padało. Wyprałam, wypłukałam, a tu nijak tera nie wyschnom.

— Nie kłopotaj się, Matko Boska — Pan Jezus powiada — to ja się bez koszulki obeńdę i w tej ostanę.

— A jakże Ci w tej koszulce ostać — Matka Boska mówi — kiedy jutro niedziela i do kościoła trza iść?

Zamyślił się Pan Jezus i widzi, że Matka Boska prawdę mówi.

— A to idźcie i wieszajcie — powiada — kiedy tak potrzeba.

Poszła Matka Boska do izby po koszulki, a ciągle okrutnie niespokojna, a Pan Jezus usiadł se na wiązce siana, pacierz po cichu mówi i czeka, co to będzie?

Wiesza Matka Boska jednom koszulkę na płocie i w niebo patrzy. A tu chmury jeszcze większe i aż się czarno robi, a słońca jakby już całkiem nie było.

Więc westchnęła ciężko i powiada do Pana Jezusa:

— Ze wszystkiem Ci na nic moja robota, bo ja już widzę, co one nie wyschnom. I jako że Ty, nieboże, tak przez koszulki ostaniesz?

A Pan Jezus nic nie mówi.

Wiesza Matka Boska i drugom koszulkę i patrzy, że stara i już bardzo maluśka. Zafrasowała się jeszcze więcej Matka Boska i powiada:

— Z czego to ja Tobie, mój Jezusieczku, nowe koszulki uszyję, kiedy te takie stare i ledwie co wlizom na Ciebie? Ni to płótna w komorze, ni lnu na zagonie i piniędzy nijakich nima. Oj doloż ty moja, dolo!

A Pan Jezus na sianie se siedzi, rączkami się bawi i nic nie powiada.

Stanęła Matka Boska na progu i taka smutna, że aż głowom z żałości kiwa. Widzi, co zara beńdzie padało, i na nic koszulki zmoknom, a choćby i nie padało, to przez słońca nijakiej ciepłości nima, więc i tak nie wyschnom.

Myśli Matka Boska i myśli i widzi, że źle. Więc idzie do Pana Jezusa i powiada:

— A mógłbyś, mój Jezusieczku, Twego Boga Ojca poprosić, żeby nam choć krzynkę słonka pokazał. Ni to dzień, ni to noc, tylko same ciemności i nijakiej ciepłości nima.

Zamyślił się Pan Jezus i widzi, że Matka Boska prawdę powiada.

Ukląkł se więc na sianie, złożył ręce jakby do pacierza i mówi:

— Daj Panie Boże Ojcze, coby choć promyczek słońca na ziemię upadł i mojom Matkę Boskom pocieszył, bo strasznie nieszczęśliwa. I coby moje koszulki zrobiły się duże i całkiem jakby nowe, bo płótna w komorze nima i piniędzy nijakich nima.

Ledwie co to Pan Jezus powiedział, aż tu chmury jakby kto siekierom rozrąbał i takie jasności się robiom, jakby na samem słońcu. Aż się Matka Boska dziwuje, jak to się tak od razu wszystko zrobiło i zara na koszulki patrzy, czy aby schnom, jako że to głównie wedle tych koszulek szło.

A z koszulek aż dym idzie, tak schnom, i takie duże się robiom, że aż chyba za duże.

Ucieszyła się okrutnie Matka Boska i zara poszła koszulki z płota zdjąć, coby jeszcze przypadkiem nie zapadało i mało nie płacze, taka szczęśliwa.

Widzi Pan Jezus, że takom uciechę Matce Boskiej sprawił, więc powiada:

— Coby zawsze biednym ludziom jakoweś pocieszenie było, daj Panie Boże Ojcze, niech

w każdom sobotę trochę słońce świeci i we wszelakich ciemnościach rozjaśnienie da.

I od tego czasu w każdziuteńkom sobotę, żeby nie wiem jakie chmury były, musi choć jeden promyk słońca na ziemię upaść. A że go nie wszyscy widzom, to tylko dla tego, że jako to jest promień cudowny, więc tylko ludziom dobrym dano go oglądać. A kto zły i grzeszy, ten nic nie widzi, bo grzechy przy nim jako cień chodzą i wszystko zasłaniajom.

PIJAK.

Zamknięty wagon tramwaju, w którym między eleganckimi panami i paniami, siedzi, skurczony we dwoje, człowiek niechybnie pijany. Siwe włosy spadają mu na czarne czoło; z ust zwisła fajka, sypiąca popiołem na ubranie. Z głupim uśmiechem spoziera na towarzyszów podróży, trąc czarnemi rękoma kolano i przekrzywiając głowę na jedną stronę, jakby myślał nad słowami, których już nie może powiedzieć. W przymkniętych oczach, które to błyszczą, to gasną, pokazuje się naprzemian to smutne poczucie swego stanu, to cierpka pogarda dla odrazy, którą czuje, że obudza.

Odrazę w rzeczy samej, i lęk i mdłości wyrażały twarze pasażerów, zmuszonych tym odorem wódki i wstrętnych łachmanów. Między jadącymi był nieznany mi pan, który mnie znał i który spojrzawszy na tego człowieka, a potem na mnie, wyraźnie mówił mi z uśmiechem: Czy tych chcesz pan opisywać? Tak, tych, tych przed innymi, bez wątpienia. Ach mylisz się pan, sądząc, że zezwierzęcenie tego jest dla niego tylko wstydem! Dla czego żaden z nas nie pokazuje się w takim stanie? czy nie dla tego, że na pochyłości doń prowadzącej zatrzymują nas tysiące hamulców wychowania, otoczenia, które nie są naszą zasługą, lecz były w nas wpojone, lub w których urodziliśmy się, a których ci ludzie nie znajdują ani w sobie, ani wokoło siebie.

A co my czynimy, aby na nich hamulce takie nałożyć? A co pięknego, szlachetnego i przystępnego dla wszystkich stawiamy między nimi a otchłanią, która ich przyciąga i gubi? A czy jesteście pewni, że sami dobry tylko przykład im dajemy?

Monolog mój przerwało koło Porta Palazzo wtargnięcie hałaśliwej gromady panów, którzy zajęli obie platformy. Po ruszeniu tramwaju rozmawiali i śmieli się dalej, przywołując się z jednego końca na drugi, przez otwarte drzwi, komicznymi wykrzyknikami i łobuzerskimi gestami.

Byli gdzieś w okolicy na uczcie, o której wciąż wspominali żartując. Mieli twarze rozpłomienione, głosy pełne i przejmujące, wymowę szybką i gorącą, właściwą tym, co pili szlachetne wino.

Wszyscy byli na tym szczeblu, który odgradza przyzwoite upojenie od trywialnego pijaństwa, w tym stanie, kiedy pewne niespodziewane wyskoki umysłu i natężenie głosu szczęśliwie rozwaga.

Z pewnych aluzyi w tym zamęcie głosów dorozumiewać się można było, że dzień nie skończony jeszcze, że widzą przed sobą, na widnokręgu drugą seryę libacyi.

A byli tak pełni życia i dobrego humoru, że panowie i panie w tramwaju spoglądali na nich z widoczną sympatyą i śmieli się z ich słów i gestów. Niektóre, swobodniejsze, wywoływały lekki okrzyk zgorszenia, z towarzyszeniem jednak uśmiechu pobłażania.

A jednak, myślałem, patrząc na nich: I ci podpili sobie, ci, którzy mogliby się bawić w sposób bardziej godny. Jeśli nie doszli do takiego stanu, jak tamten, to nie dla tego, że pili mniej, ale, że pili lepiej. Jeśli są czystsi od niego, to dla tego, że praca ich jest czystsza. Jeśli nie śpią, jak on, to dla tego, że nietyle pracowali wczoraj i że się dobrze wyspali w nocy.

W gruncie, jeśli się weźmie pod uwagę różne warunki, przedstawiają nieumiarkowanie niemniej pospolite, może jeszcze bardziej godne potępienia, niż tego pijaka, a daleko niebezpieczniejsze, jako przykład. A dla czego jednak tym się wybacza i nawet obdarza sympatyą, a odrazie, jaką się czuje do tamtego, nie towarzyszy żadne współczucie?

Naraz pijak zwrócił uwagę jednego z wesołej bandy, który go pokazał innym. Wszyscy spojrzeli, żartując i śmiejąc się z niego.

Boże miłosierny! Butelki po dwa liry wyśmiewały litr za osiem soldów.

I wszyscy w wagonie śmieli się.

Nie wszyscy. Młodziutka blondyneczka, siedząca w kącie, pozostała poważną i spoglądała na pijaka z wyrazem smutku i litości, marszcząc czoło na każdy żart widzów, jakby przykro dotknięta.

Jakże piękną wydała mi się! Parini przerobiłby dla niej swój sławny wiersz, powiedziałby: — Jesteś ludzka i sprawiedliwa!

Amicis.

Kwiat paproci.

Przez bór ciemny, przez odwieczny, szedł raz Chrystus w szacie białej.

Cisza była dokoła, cisza świetlna i rozwiewna, jako echo zadumana, jako fletni tony rzewne. Słońce słało swe promienie, swe kaskady szczerozłote, by rozświetlić, opromienić Jego długą, ciemną drogę. Dzielne dęby, hoże lipy, smukłe klony i topole, liściem bujnym się okryły, rozesłały swoje cienie.

Słowik swe rozsypał trele, zawtórzyły inne ptaki, pieśń ku Panu popłynęła, pieśn na skrzydłach srebrno-białych, niosąc korne dziękczynienia.

Jedna tylko paproć leśna stała smutna, zadumana, płacząc kroplą srebrnej rosy, zawodziła swoje skargi; skargi smutne, zajękliwe, niby wichrów polnych granie, skargi ciche, beznadziejne, niby deszczów głuche łkanie.

„Wszystko się raduje w Panu, słońce śle mu swoje blaski, kwiaty wonie, drzewa cienie, ptaki srebrne tony pieśni. Tylko ja nic dać nie mogę, ni mu kornej złożyć dani, więc ronię łezki rzęsiste, opłakując smutną dolę“.

Wtem zadrżała paproć leśna, zachwyceniem wielkiem zdjęta, bo spostrzegła, bo ujrzała swego Ojca, swego Pana.

Gdy ją ujrzał Pan nad pany taką nikłą taką smutną i cierpiącą, dotknął usty liliowemi jej zielonych, drobnych listków.

„Kocham cię, bo krom miłości, nic mi nie masz do oddania. Kocham cię, boś uboga, boć cierpiąca jest i smutna“.

I wnet stał się cud promienny, cud nad wszystkie cudy świata; pod dotknięciem warg liliowych wykwitł kwiat z promieni słońca, z jasnych barw jutrzenki tkany.

Wszystko wokół zaniemiało, w srebrnej utonęło ciszy, jedna tylko paproć drżała, niby wichrem kołysana.

Wówczas spytał Pan nad pany:

„Co ci, biedna ty roślinko, czego drzysz tak bezustannie dziwnym, ciemnym lękiem zdjęta?“

„Boję się“, paproć szepnie swoim cichym, kornym głosem. „Ledwo w skromnej jasnej krasie rozwiną się kwiaty polne, a już giną: im przychodzi pod straszliwą kosą śmierci; ledwo wonne, krasne róże rozpromienią się purpurą, woń czarowną śląc wokoło, już je zrywa syn człowieczy, swe miedziane wieńczy czoło. Więc się lękam, więc się trwożę, by oko złego człowieka nie dojrzało Twego daru, nie dotknęło srebrnych listków“.

Uśmiechnął się Pan nad pany, a uśmiechem swym jak słońcem opromienił i rozjaśnił ziemię, niebo dokoła. I przemówił głosem takim, że umilkły ptaki leśne w cudnych dźwiękach zasłuchane.

„Prośba twoja wysłuchana. Paproci kwiatu nie ujrzy oko w świat patrzące bez miłości, nie dosięgnie dłoń człowieka, co choć raz przez całe życie odtrącił rękę nędzarza z korną prośbą wyciągniętą. Kwiat paproci kwiatem dobrych, kwiatem czystych będzie zwanym, kto posiądzie kwiat paproci, temu szczęście, temu chwała!“

Zaszumiały wszystkie drzewa, zaśpiewały leśne ptaki i rozniosły wieść o cudzie na wsze kraje tego świata.

. . . .

Upłynęły długie lata, długie lata, wieki całe, a kwiat jasny, kwiat srebrzysty rośnie, kwitnie w leśnej głuszy, rozświetlając smutne mroki. Już i o nim wieść zamilkła, niby pieśni ton przebrzmiany, tylko brzozy, tylko buki, srebrne lipy i topole wciąż prowadzą rozhowory, niby gwarzą, niby radzą, czy nastanie, czy wybije taka chwila jasna złota, kiedy ujrzą kwiat paproci, jako lilia kwiat przeczysty, jako słońce promienisty...

„Śmierć katolicyzmowi!“

Tegoroczny kongres wolnomularzy francuskich w Puy powziął szereg uchwał, mających na celu rozpoczęcie wielkiej walki kulturnej, celem zniszczenia religii katolickiej. Kongres ten odbył się pod hasłem: śmierć katolicyzmowi. Nietylko bowiem już drogą ustaw i rozporządzeń, ale także przy pomocy brutalnych gwałtów i innych nędznych środków zamierzają loże francuskie tępić katolicyzm we Francyi i uniemożliwiać wykonywanie praktyk i nabożeństw katolickich.

Oto najnowsze sposoby walki wolnomularstwa z Kościołem, uchwalone na wspomnianym kongresie:

Zamknięcie kościołów dla celów religijnych, a użytkowanie ich na przedstawienia, zgromadzenia, jarmarki itd.

Wydawanie w Wielki Piątek przez państwo we wszystkich wsiach i miastach bezpłatnych obiadów z mięsem i winem.

Zakaz chrztu dzieci.

Zakaz odwiedzania chorych przez kapłanów katolickich, wyjąwszy wypadki, gdy chory wyraźnie tego zażąda.

Zakaz państwowy urządzania pogrzebów z asystencyą księży i z ceremoniałem katolickim. Wszystkie pogrzeby mają być tylko państwowe.

Dopóty państwo nie przeprowadzi powyższych ustaw, mają loże masońskie starać się o wprowadzenie powyższych wniosków w życie wszelkimi sposobami.

Humorystyka.

Biedak!

— Jakto, z początku chwaliłeś swą żonę, że sama sobie suknie szyje, a teraz narzekasz na to?

— Jakże nie mam narzekać, kiedy wciąż nowe szyje.

* * *

Nieprzyjaciel małżeństwa.

— Powiedz mi dla czego pozwalasz temu łotrowi ujść zupełnie bezkarnie w twoim nowym dramacie?

— Jakto? żeni się przecież w ostatnim akcie, i to żeni się z miłości.

* * *

Nasze dzieci.

Pan X. wchodzi do pokoju dziecinnego, gdzie wśród wrzawy czuje niemożliwie wstrętny zapach.

— Dzieci? Co wy robicie?

— Bawimy się w samochód — odpowiada rezolutny Broncio. — Jaś jest palaczem, ja pasażerem, a Zosia czem tylko może zanieczyszcza powietrze!

Drukiem i nakładem Jana Teski w Bydgoszczy. Redaktor odpowiedzialny Jan Szmańda w Bydgoszczy.